№ 32. Warszawa, 12 Sierpnia 1910 roku. Rok III.

SPOŁECZEŃSTWO

TYGODNIK NAUKOWO-LITERACKI, SPOŁECZNY i POLITYCZNY.

PRENUMERATA w Warszawie: z odnoszeniem do domu rocznie rb. 7 k. 60, Kwartalnie rb. 1 k. 90, Miesięcznie k. 65. Numer pojedyńczy — kop. 15. **Z przesyłką pocztową**: Rocznie rb. 9, Kwart. rb. 2 k. 25. Za zmianę adresu k. 20.

„SPOŁECZENSTWO“ wychodzi co piątek

Adres Red. i Administracji Wielka 1-a m. 1. Tel. 97-83.

OGŁOSZENIA po kop. 15 za wiersz petitu. REKLAMY po tekście kop. 30 za wiersz petitu. NADESŁANE na 1 stronicy przed tekstem po kop. 50 za wiersz.

Administracja otwarta od 10—2 i od 4—7, prócz świąt. W interesach redakcyjnych porozumiewać się można codziennie od g. 3 — 5 po południu. Drobnych rękopisów nie zwraca się.

TREŚĆ NUMERU:

Po pierwszej klątwie.

Niesnaski w obozie wszechpolaków galicyjskich między „oportunistyczną“ grupą namiestnikowską a „radykalnemi“ adherentami p.p. Pawlikowskiego i Grabskiego musiałyby doprowadzić do rozłamu stronnictwa narodowo-demokratycznego.

Jedynym sposobem do zapobieżenia secesji i do ocalenia nadwątlonego *prestige'u* endecji, było dla „radykalnej“ większości dość jeszcze wczesne odcięcie tych „zakażonych“ części, które wcześniej czy później odpadłyby od stronnictwa same.

Wydanie edyktu banicyjnego na jednostki, które ośmielają się podnieść głowę przeciw ortodoksji partyjnej, nadaje zawsze pozory siły i zwartości pozostałym w organizacji zastępom. Uznano więc za lepsze wykluczyć ze stronnictwa narodowo-demokratycznego posła Germana, aniżeli czekać, aż opuściłby je *proprio motu*, pociągając za sobą tych członków, których mógłby—pozostając w partji przez czas jeszcze dłuższy, otoczony urokiem dopiero co piastowanego dostojeństwa, — skaptować dla secesji łatwiej, aniżeli teraz, gdy znalazł się poza obrębem stronnictwa, obłożony klątwą partyjnych pontifeksów.

Oczywiście, że to zapobiegawcze wykluczenie nie uchroni całkowicie endecji galicyjskiej od tego, że ubędzie z jej szeregów pewna ilość członków—być może nawet — najwybitniejszych. Wszak już i „Gazeta Warszawska“ nie potrafiła utaić, że to, co spotkało p. Germana, jest pośrednim *desaveu* dla dotychczasowego bożyszcza wszechpolaków, p. Głąbińskiego, który dziś—jako prezes Koła Wiedeńskiego—formalnie tylko nie zalicza się do stronnictwa narodowo-demokratycznego.

Jednakże to, co się stało, nie oznacza jeszcze ani rozkładu, ani rozpadania się galicyjskiego stronnictwa nacjonalistycznego, jak zbyt pohopnie przewidują niektórzy jego przeciwnicy.

Odpadanie czy wykluczanie członków, zdarza się nawet w stronnictwach klasowych, t. j. tych, które mają pod sobą grunt najstalszy, a budowę wewnętrzną najbardziej spoistą. Cóż więc dopiero, gdy idzie o demokrację narodową, partję tak pozbawioną wszelkiego określonego, pozytywnego programu, tak łatwo przygarniającą do siebie każdego, kto tylko stoi na stanowisku „narodowem“.

To też pod wpływem niesnasek wewnętrznych, na skutek wzmożonych nawet wykluczeń czy wystąpień, stronnictwo wszechpolskie nie przestanie istnieć, dopóki nie przestanie czynić zadość potrzebom pewnych grup społecznych.

Partja frazesu pseudopatrjotycznego, partja nacjonalizmu *à outrance* długo jeszcze posiadać będzie potężną siłę, pociągającą wobec sfer drobnomieszczańskich, które znajdują w niej doskonały wyraz ideologiczny dla swych materjalnych interesów klasowych.

Demokracja narodowa żyje walką i przez walkę z wrogiem „wewnętrznym“ — istnieć więc będzie dopóty, dopóki — w Galicji wschodniej, głównej siedzibie wszechpolaków, będzie mogła i musiała zwalczać braterski sobie, co do ducha, nacjonalizm burżuazji ukraińskiej, w Galicji zachodniej — ruch socjalistyczny, który prędzej czy później stanie się potęgą większą i bardziej celów swych i taktyki świadomą, aniżeli dzisiejszy obóz posła Daszyńskiego.

Le cas German musi zatem zostać sprowadzony do istotnych rozmiarów zajścia. Skutki jego nie wpłynęły zupełnie na układ stronnictw i sił społecznych w Galicji.

N. D. ponosi tylko pewną klęskę moralną, naczelne jej bowiem twierdzenie, że może ogarnąć wszystkie żywioły „narodowe", że może stać się ucieleśnieniem całego narodu, doczekało zaprzeczenia. Prawdopodobne jest także czasowe zahamowanie rozrostu stronnictwa, oraz osłabienie potęgującego się do niedawna wpływu jego w Kole polskiem.

Partja pracy, którą jakoby zamierza utworzyć radca German, nie stanie się z pewnością ani groźnym przeciwnikiem dla endecji, ani nowym środkiem organizowania życia politycznego w Galicji. Stronnictwo to, o ile powstanie, obejmie garść dążących do hofratowstwa urzędników, których młodozachowawcze poglądy społeczne i pozostające zawsze pod natchnieniem każdorazowego rządu przekonania polityczne, doprowadzą rychło do obozu „Czasu".

Jedynym, zdaje się, poważniejszym skutkiem obecnego przesilenia będzie dalsze wzmaganie się wśród endecji galicyjskiej tonu przeciwukraińskiego, poczytywanego przez nią za „radykalizm" w przeciwstawieniu do grupy posła Germana, która szła w tym względzie za pojednawczą polityką pałacu „pod kawkami".

Dziś Demokracja Narodowa pozbyła się w owej walce narodowościowej pewnego wewnętrznego hamulca, i to—ogólnie biorąc—jest ujemnym skutkiem przesilenia.

* *
*

Stanowisko, jakie wobec tego faktu zajęła endecja, burmistrzująca u nas, jest, jak zwykle, bałamutne i znamienne dla jej radykalizmu—po za obrębem właściwego teatru walki.

Klika dmowszczyków, opowiedziawszy się za „radykalistami", nie zdradziła ani słowem poliszynelowej tajemnicy, że nieprzejednawczość ich zasadza się jedynie na rozniecaniu waśni narodowościowej między polską mniejszością a ukraińską większością we wschodniej Galicji, tej waśni, która ma przedłużać panowanie obszarnika nad chłopem i zachowywać lepsze posady krajowe dla Felicjanów Dulskich polskiego pochodzenia.

Na łamach „Gazety Warszawskiej" przesilenie wśród Galicyjskiej Demokracji Narodowej urasta do znaczenia jakiejś zasadniczej walki między nieprzejednaną polityką wobec rządu zaborczego prowadzonego przez p.p. Pawlikowskiego i Grabskiego a oportunistyczną ugodową taktyką Germana.

Bez żadnego też poczucia śmieszności, pełni zaufania do analfabetyzmu politycznego swych zwolenników, ekskomunikują ludzi, kierujących się wpływami lwowskiego pałacu namiestnikowskiego, menerzy warszawscy, czujni na każdy podmuch, płynący z wyspy Aptekarskiej.

W taki sposób, nie mając sił ani ochoty do prowadzenia radykalnej polityki narodowej w Królestwie, pragną oni, przekonywując ogół o opozycyjności swych kompanów galicyjskich, ocalić *quand même* pozory dobrej sławy nacjonalizmu polskiego, skompromitowanego doszczętnie przez b. prezesa koła w Petersburgu.

Gra ta nie przystoi nawet dobrym szulerom politycznym.

—ski.

Postać posągowa.

(Ciąg dalszy)

Monografje, omawiane tu, dopełniają się wzajemnie pod wieloma względami. Jeżeli chodzi o krótkie sformułowanie różnic w ujmowania Mochnackiego przez tych dwuch historyków — da się powiedzieć, że—Jan Kucharzewski maluje nam postać dziejową na rozległem tle wypadków listopadowych i pod jego ręką Mochnacki przesuwa się jakby na falach powstania, czasami znika i znów się pojawia w oddalonej perspektywie wydarzeń. Artur Śliwiński zaś stawia Mochnackiego na przedzie, rzeźbi śmiało i wprawnie i dopiero poza plecami głównej postaci przesuwa nam obrazy powstania; autor o tyle tylko uwzględnia całokształt rzeczy ówczesnych, o ile potrzebne mu to jest do uplastycznienia portretu Mochnackiego. Kucharzewski jest to bardziej przedmiotowy, spokojny badacz wypadków historycznych, miejscami suchy i zbytnio rozwlekły, przytem odtwarza przedewszystkiem treść i charakter epoki. A Śliwiński daje się poznać jako pisarz entuzjastyczny, wielce błyskotliwy, często dający się unosić temperamentowi publicystycznemu, przytem bardziej go pociąga sama postać Mochnackiego, niż jego rola polityczna w przedmiotowem zestawieniu z ogólną rolą i ze znaczeniem epoki, wymagającem już obszernego tła porównawczego.

Przekleństwem życia Mochnackiego stało się jego pismo karmelickie, wydarte mu w więzieniu w chwili zwątpienia przez kreatury śledcze. Rzekome nawrócenie, wyrażające się w potępieniu ówczesnych urządzeń szkolnych w sposób renegacki, było tą zabójczą bronią, którą bez trudu obracano przeciw Mochnackiemu przez cały czas jego pracy publicznej, lecz której nigdy stępić nie zdołał nawet w chwilach najbardziej bohaterskich wysiłków. Poniekąd jednak owa nieszczęsna chwila upadku, będąca powodem jego rozpaczy i szarpaniny późniejszej, — potęgowała w nim energję twórczą, niosącą go na szczyty myśli politycznej, skąd rzucając jasne promienie przenikliwości w przyszłość, pragnął Mochnacki olśnić współczesnych i tem samem w mrok osunąć znaczenie poniżające pisma karmelickiego i urzędowania w cenzurze. Niestety, ilekroć w chwilach najwyższych uniesień jego talent polityczny, przenikliwość i orjentacja w wypadkach pozwalały osiągnąć mu przewagę nad przeciwnikiem, — zawsze słowo publiczne, wypominające mu memorjał karmelicki, zrzucało go znagła z wyżyny powodzenia i posłuchu na dno wzgardy powszechnej i odosobnienia. To krótkie mgnienie legło olbrzymim cieniem na latach pracy społecznej Mochnackiego. Może dlatego właśnie jego twórczość polityczna, jednająca mu w pewnych okresach tłumy i zniewalająca ministrów do liczenia się z nim—nie mogła przemódz jednak oprócz teroryzmu nazwiska także teroryzmu uprzedzenia, które ścigało go na mównicy i w redakcji, w klubie i na polu bitwy, i później na emigracji. Mochnacki, przerósłszy o głowę współczesność — skazany był na odosobnienie i na przeżywanie tragedji narodowej w samotności, wcześniej, niż przeżyć ją miał cały naród.

Twórcza działalność polityczna Mochnackiego rozpoczęła się właściwie od czasu założenia zbrojnego

klubu rewolucyjnego p. n. Towarzystwa Patrjotycznego. Jeszcze przed wybuchem powstania, kiedy spiskowcy przystąpić mieli do wykonania szczegółowo opracowanego planu, Mochnacki zwracał głównie uwagę na utworzenie rządu rewolucyjnego, mającego wytknąć kierunek insurekcji i opanować rozstrzelone działania podchorążych i spodziewane wystąpienia stolicy.

Słuszność żądania Mochnackiego wystąpiła w całej pełni dopiero po wybuchu rewolucji, kiedy rozpoczęła się walka wewnątrz społeczeństwa, rozdzielonego na określone obozy polityczne. — Po zamachu listopadowym, kiedy ruch uliczny i wojskowy rozwiał złudzenia i dał się poznać jako pierwszy płomień powstania — rozpoczęło się zmaganie prądu ugodowego i rewolucyjnego o przewagę, a co za tem idzie, o faktyczne panowanie nad insurekcją. Wyrazicielem dążeń ugodowych, które wzmogły się w groźnej chwili ostatecznego upadku unji z Rosją, był przedewszystkiem Lubecki, minister skarbu, zaś jako rzecznik płomienny rewolucji wystąpił na widownię polityczną — Maurycy Mochnacki, wróg klasycyzmu w literaturze i prądów realnych w życiu społecznem. Dwaj potężni przeciwnicy zetknęli się niebawem. Lubecki wytrawny dyplomata, działający z ukrycia, wytworny nawet w walce podstępnej, w której szło o zgnębienie przeciwnika, — Mochnacki — młodzieniec o płonącej głowie, gwałtowny, śmiało i otwarcie wykonywujacy swój plan nie bacząc na siły, stojące po za nim i osoby, biorące udział w turnieju politycznym.

Rada Administracyjna kraju, której głową był ks. Lubecki i Towarzystwo Patrjotyczne, którego duszą był Mochnacki — tworzyły ośrodki dwuch wzajemnie wyłączających się kierunków. O tryumfie „realizmu" ugodowego i „romantyzmu" rewolucyjnego decydowały jednak tłumy, nieorjentujące się w pokrzyżowanych prądach politycznych i idące pod wpływem zmiennych wrażeń, odbieranych na wiecach i na ulicy—impulsywne i bezkrytyczne. Nastroje ludności warszawskiej stworzyły warunki, w których Mochnacki zwyciężyć mógł księcia ministra, powodując upadek Rady Administracyjnej i ukonstytuowanie Rządu Tymczasowego. Dzięki tym samym nastrojom ludności, tryumfator zostaje wkrótce strącony z wyżyny powodzenia, i pociągając za sobą upadek klubu—toruje drogę Lubeckiemu, którego zwycięstwo sprowadza dyktaturę generała Chłopickiego.

Na razie wzgardzony i znienawidzony Mochnacki opuszcza widownię polityczną i przerzuca się na pole publicystyczne. Tutaj w licznych artykułach poczyna uzasadniać swoje poglądy na sposób prowadzenia powstania, na znaczenie ubiegłych dni listopadowych, mających zmienić i przekształcić stosunki polityczne Europy północnej, walczy o umiejętność tworzenia rewolucji i o kształcenie ducha publicznego, ducha insurekcji.

Tymczasem bieg wypadków coraz wyraźniej zmierza do punktu, przed którym ostrzegał Mochnacki, walcząc przeciw dyktaturze generała napoleońskiego, gardzącego rewolucją polską i motłochem, biorącym w niej udział. Mochnacki, targnąwszy się na potężnego dyktatora, rozumiał, że Chłopicki, będący bardziej skłonnym do układów, niż do przewodzenia powstaniu, musi zaprzepaścić dzieło listopadowe i wtrącić kraj w otchłanie nieuchronnej klęski. Gdy wreszcie wyrachowany generał, bohater z pod Saragossy i sojusznik Lubeckiego w polityce petersburskiej—składa dyktaturę w dn. 18 stycznia—rewolucja zwraca cześć trybunowi, który przewidział wypadki, i powołuje go na czoło rosnącej opozycji, zgrupowanej ponownie w Towarzystwie Patrjotycznem.

(D. c. n.). Henryk Lukrec.

Ruch zawodowy na manowcach.[1]

W № 29 „Społeczeństwa" p. Edw. Grabowski w artykule p. t. „Ruch zawodowy na rozdrożu" podjął jedno z najbardziej palących zagadnień ruchu robotniczego. Sprawa ta ma swoją historję (już w roku 1906 grupy robotników uświadomionych wstępowały gdzieniegdzie do stowarzyszeń i instytucji zakładanych przez nar. demokrację i wywierały pewien wpływ na ciemnych swoich kolegów) i dlatego wymaga wszechstronnego ujęcia. Tembardziej, że świat robotniczy w Królestwie Polskiem przeżywa obecnie bardzo poważny kryzys.

[1] Ażeby możliwie wyraźnie oświetlić zadania taktyczne, tyczące się ruchu zawodowego, drukujemy i ten artykuł bez zmian. Umieścimy niebawem artykuł, wyrażający pogląd redakcji na tę sprawę. *(Red.)*

Bernard Shaw.

Wycinki z gazet.

2) (ciąg dalszy).

Balsquith (bierze Mitchenera przyjacielsko pod ramię i przechadzając się z nim po pokoju, namawia go usilnie). A zatem czy chcesz pan dopomódz rządowi i objąć główne dowództwo armji, odrzucone przez starego?

Mitchener. Czyż mogę to uczynić? Wiesz pan przecież że ludzie są oddani Sandstone'owi ciałem i duszą. Któż inny potrafiłby doprowadzić naród brytański do przyjęcia powszechnej powinności wojskowej,—a on dokazał tego w przeszłym roku. Nawet duchowieństwo nie żądało dla siebie wyjątku. On jest wprost wszechwładny.

Balsquith. Był wszechwładny przed rokiem. Ale od chwili, gdy pańskie „Wspomnienia" osiągnęły o dwa wydania więcej niż jego książka i popyt na nie doprowadził do upadku „Times Book-Club", przewyższasz go pan pod wszelkiemi względami. Stracił grunt pod nogami dzięki swemu wyrażeniu, że publiczność kupująca książki doprowadziła klub do ruiny Wydał się ze swą zazdrością, i publiczność to zauważyła.

Mitchener. Ale ja go przedstawiłem bardzo pochlebnie w mojej książce—widzi pan, nie mogłem inaczej wobec życzliwości, z którą on mnie potraktował w swojej — i nie mogę obecnie mieć innego zdania. (Odsuwając się od Balsquitha). Nie, Balsquith, niema rady, on może wam teraz dyktować warunki.

Balsquith. Wcale nie. Ta historja z owym pastorem...

Mitchener (niecierpliwie). Ach, do djabła z tym pastorem! przez okrągłe dwa tygodnie musiałem słuchać ciągle o tym nędznym warcholе. On zresztą nie jest księdzem, dopóki służy w armji; jest tylko prostym żołnierzem i niczem więcej. Doprawdy nie mam czasu na te rozmowy. Jestem zajęty. Do widzenia. (Siada przy stole i zabiera się do swych listów).

Balsquith (niedaleko drzwi). Żałuję, że pan przemawiasz w tym tonie. Wobec tego muszę panu wyznać szczerze, że, jak mi się zdaje, lieutenant Chubbs-Jenkinson okazał wielki brak poszanowania dla rządu, wydając nierozsądne i niezwykłe rozkazy— gdyż tym sposobem obniża się zaufanie do służby wojskowej. Gdy przywódca partji robotniczej zwrócił się w przeszłym roku do mnie i do Izby z prośbą, aby nie wy-

Z jednej strony apatja powszechna, z drugiej reakcja polityczna, orgje klerykałów w sukienkach chrześcijańskich demokratów, naganka zjednoczonej burżuazji, tem ohydniejsza, że przeciwnik nie jest w stanie odpierać stawianych mu zarzutów—oto co paraliżuje jednolitą, prosto-linijną akcję proletarjatu i spowodowuje w pewnych momentach uchylanie się od dróg wskazanych przez teorję i praktykę ruchu zachodnio-europejskiego.

Wyjątkowe warunki momentu poniekąd wiernie zostały uchwycone przez p. E. G., to jednak nie przeszkadza dojrzeć w argumentacji jego pewnej jednostronności, przeceniania jednych czynników — psychiki i umysłowości robotnika — i niedoceniania drugich—pracy poprzednich pokoleń, czynnych na polu organizacyjnem, jak u nas, tak i zagranicą. W rezultacie wyjście z obecnej sytuacji zostało właściwie znalezione, jednak nie jest to lek na ciężką chorobę, jaką przeżywają związki zawodowe klasowe, lecz — samobójstwo. Wprawdzie przynosi ono ratunek, ale pod warunkiem przerwania pasma życia.

Przyprzyjmy się rozmyślaniom p. E. G. i postarajmy się rzucić szerszy refleks świetlny na istotę i formy ruchu zawodowego w przeszłości i teraźniejszości.

Otóż cała analiza autora wspomnianego artykułu ogranicza się do uznania konieczności legalnej pracy związkowej. Rozumuje on w sposób następujący: skoro bezpartyjne klasowe związki robotników zostały zawieszone, skoro władza administracyjna udaremnia każdą próbę ich powstania, to chcąc koniecznie mieć związki legalne, proletarjat musi uciec się pod opiekuńcze skrzydła żółtych „polskich związków“. Ponieważ jednak „Trybuna“ i „Wiedza“ wypowiedziały się zdaniem p. E. Gr. w tymże duchu, [2]) więc spieszy autor z radą, aby proletarjat świadomy i nieświadomy wstępował do związków n. d-cznych. Sądzi bowiem, że instynkt klasowy robotnika jest tak silny, że związki te przeobrazić albo popchnąć zdoła na tory czysto klasowe. Szkoda że p. E. Gr., ujawniający w swych artykułach znajomość bytu robotnika polskiego, tym razem tak powierzchownie ujmuje jego psychologję. Czy nie wie o tem, że instynkt klasowy nie pcha robotników niemieckich ze związków liberalnych Schultze-Delitscha na stanowisko klasowe, choć egzystują one lat dziesiątki, czyż nie wie, że żółte związki robotników francuzkich stoją zawsze po za linją bojową walczących o poprawę społeczno-ekonomicznego bytu proletarjatu syndykatów robotniczych; czyż wpływ centrum klerykalnego na robotników w prowincjach nadreńskich pomimo silnego uprzemysłowienia tych prowincji nie jest długoletni? Czyż wreszcie cała praktyka z roku 1905/6 nie wskazała mu, że zdrowy instynkt robotników ze „związków polskich“ nie przeszkadzał im za namową swych hersztów n.-d.-cznych strzelać do robotników, oddawać swych kolegów, jak to miało miejsce w Pabjanicach i innych miejscowościach, w ręce policji, występować już nawet po upadku ruchu wolnościowego przeciw wszelkim próbom walki, podjętym przez robotników nawet bez udziału żywiołów partyjnych (porówn. haniebne zachowanie się „polskiego związku zaw. garbarzy“ podczas lokautu podjętego przez samych fabrykantów w celu obniżenia płacy zarobkowej i pogorszenia warunków pracy). Wprawdzie historja polskich związków zna pewne precedensy, kiedy to związki te musiały w bardzo nielicznych wypadkach podejmować walkę z kapitałem. Ale i to nie jest tajemnicą dla nikogo, że biorący udział w tych strejkach robotnicy nie stawali się przez to świadomemi proletarjuszami, że nadal pozostawali w tych związkach biernem narzędziem w ręku swych kierowników, przeciwstawiając się ogółowi politycznie dojrzałych robotników.

Pomimo to jednak nie wątpię, że z czasem przy odpowiednich warunkach zdrowy instynkt tych nieszczęsnych robotników weźmie górę nad chwilowym nastrojem, chwilowemi sympatjami lub antypatjami do tych lub innych partji. Muszę jednak podkreślić, że proces uświadomienia idzie stosunkowo szybko tylko wtedy, jeżeli robotnik jest wolny od wpływów ubocznych swych doradców burżuazyjnych i klerykalnych. Udział jednak jego w związkach żółtych, klerykalnych lub polskich stawia go w ciągły kontakt z odpowiedniemi prowodyrami łączności ogólno-klasowej. Tembardziej nie wytrzymuje najlżejszej krytyki przypuszczenie, że związek jakikolwiekbądź wskutek swej legalnej działalności obejmie szerokie masy najemników. Likwidatorzy działalności partyjnej w rosyjskich szeregach robotniczych już namacalnie, bo na własnych eksperymentach związkowych, przekonali się, że choć jest to owoc smaczny, lecz bezwarunkowo przedwczesny. Tam kierunek ten wyśpiewał już swoją pieśń łabędzią i wró-

[2]) Patrz wyborny artykuł wstępny w № 31 „Wiedzy“, zajmujący zupełnie inne stanowisko, aniżeli p. E. G.

---

rzekać się wszystkich swobód angielskich przez wprowadzenie powinności wojskowej, lecz aby trwać przy zachowaniu praw obywatelskich żołnierzy...

Mitchener. Bzdurstwa!

Balsquith. Odpowiedziałem, że żaden oficer brytański nie byłby zdolny do nadużywania władzy, którą trzeba mu nadać z konieczności.

Mitchener. Zupełnie słusznie.

Balsquith. To zyskało sobie ogólny poklask Izby i całego państwa.

Mitchener. Rozumie się.

Balsquith. I wszyscy mieli uczucie, że partja robotnicza składa się z bezdusznych dzikusów

Mitchener. I jest tak w istocie.

Balsquith. Aż tu oto przychodzi ten nieokrzesany chłystek Chubbs-Jenkinson, jedyny syn tak zwanego króla sody, i każe jakiemuś pastorowi lizać sobie buty. A gdy ten daje mu w pysk, skazujecie go najpierw na śmierć przez rozstrzelanie, a później dajecie się unieść porywowi nadzwyczajnej łagodności i zmieniacie wyrok na karę chłosty. Co właściwie miał zrobić ten pastor według pańskiego zdania?

Mitchener. (Rzucając pióro i papiery zrywa się i staje przed Balsquith'em). Jego obowiązkiem było krótko i węzłowato: wykonać rozkaz a następnie podać skargę na oficera w formie właściwej. Otrzymałby wtedy najzupełniejszą satysfakcję.

Balsquith. Co za satysfakcję.

Mitchener. Chubbs-Jenkinson dostałby naganę. Zresztą otrzymał ją i tak. A oprócz tego ten człowiek złamał subordynację. Nie możesz pan wszak zaprzeczyć, że pierwszą rzeczą, którą uczynił po otrzymaniu chłosty, było, rzucić się na Chubbs-Jekinsona i rozbić mu szczękę! To okazało dowodnie, że chłosta była bezcelowa. Dlatego dostał teraz dwa lata ciężkich robót, i to mu się słusznie należy.

Balsquith. Założę się z panem o jedną gwineę, że nie dostanie nawet jednego tygodnia i o drugą — że Chubbs-Jenkinson przeprosi go pokornie. Widać, że nie słyszałeś pan jeszcze najświeższych nowości?

Mitchener. Cóż za nowości?

Balsquith. Okazuje się, że ten pastor ma ogromne stosunki.

(Mitchener zatoczył się z przerażenia. Bez słowa wlepił w Balsquitha dzikie i zastraszone spojrzenie, chwiejnym krokiem zmierza do krzesła i ukrywa twarz w dłoniach. Balsquith mówi dalej bez litości, pochylając się nad nim i tem dobitniej cedząc słowa).

cił w podziemia. U nas jednak, choć gorzkie doświadczenie polskich i chrześcijańskich stowarzyszeń powinno było nas pouczyć o szkodliwości wysokiej na umysłowość robotników tych związków, jednostki wychowane na masowej robocie legalnej nie mogą się oswoić z obecną sytuacją i wolą dokonywać wysoce ryzykownych doświadczeń, aniżeli głębiej zastanowiać się nad istotą i warunkami bytu robotnika i szukać wyjścia w tej płaszczyźnie, gdzie go znajdowali wybitni teoretycy i praktycy ruchu robotniczego. Równie bezpodstawne jest przypuszczenie, że władze z koniecznością uwzględnienia potrzeb organizacyjnych pracowników liczyć się będą. Uprzytomnienie sobie niezbędności tolerancji w stosunku do instytucji robotniczych jest tutaj bardzo problematyczne.

Nie ulega wątpliwości, że najmniejszą możliwość działalności legalnej proletarjat wyzyskać dla siebie powinien, jednak akcja ta nie powinna nosić dla klasy robotniczej pierwiastków rozkładowych, bakterji chorobo-twórczych. A czemże, jeżeli nie samobójstwem, byłoby systematyczne spaczanie w „związkach polskich" świadomości politycznej i społeczno-ekonomicznej robotnika, sprowadzanie go na manowce kompromisu oportunizmu solidarystycznego, w konsekwencji wytwarzającego rzesze łamistrejków. Z całą stanowczością należy potępić te nawoływania polskiego proletarjatu do popełniania zabójczego błędu, jakim jest wstępowanie do „polskich związków."

Karol Sowadski

GAWĘDY.

„Donoszą nam, że na odbyć się mającą w miesiącu przyszłym wystawę bydła w Rypinie przybyć ma grupa specjalistów z Paryża"

(Pisma d. 3/3).

Grupa specjalistów, mająca — jak wiadomo — przybyć na wystawę bydła w Rypinie, składać się będzie z p. p. Durand, Dubois i Dupont, wysoce cenionych w Paryżu kupców i radców miejskich oraz p. Dulac, członka Akademji Francuskiej i znakomitego autora słynnej pracy „O hodowli cieląt w krajach słowiańskich."

(Pisma d. 25/3).

„Sympatycznych naszych gości z Zachodu, mających zatrzymać się w naszem mieście w przejeździe do Rypina, przyjmować będzie arystokrata-obywatel, hrabia Wałkoński, z którego to inicjatywy spieszy do nas spontanicznie życzliwa delegacja.

(Pisma d. 25/3).

Pod przewodnictwem hr. Wałkońskiego odbywa się szereg posiedzeń, w celu obmyślenia godnego przyjęcia dla gości z Zachodu. Jest to prosty rewanż! Rewanż za to gorące, pełne entuzjazmu przyjęcie, jakie spotykał ze strony Paryżan każdy z nas, przybywając do stolicy Francji. Śmiało powiedzieć możemy: każdy z nas, bo każdy z nas bywał w Paryżu w celu tym, owym lub zgoła bez celu. Wiadomo przecie, że Lutetia poto była założona nad Sekwaną, aby Warszawiacy, którzy nic nie mają do powiedzenia, mogli—w chwilach, kiedy gwałtownie powiedzieć coś trzeba — opowiadać o swoich fantastycznych przygodach w Paryżu.

Mój Boże! ile to Francuzi mają dla nas niekłamanej sympatji, jak oni nas lubią! Jest to zresztą zrozumiałe i zasłużone: któż nie zna naszej ogłady, zalet towarzyskich i tego uznania dla kultury zachodnio-europejskiej, tego szacunku względem niej, przynależnego osobie obcej. Nie dziwota więc, że nas Francuzi lubią, zatem—grzeczność za grzeczność—my ich też lubimy.

Stara gościnność warszawska, przystrojona w żabocik Louis XV na przyjęcie delegacji, przybywającej spontanicznie na zaproszenie hr. Wałkońskiego, wysila się uprzyjemnić panom Dupontowi, Durandowi, Dulacowi i Dubois'owi pobyt w naszem mieście. Układa się plan (wzorując się zawsze na tem, jak nas przyjmowano w Paryżu) bankietów, rautów, wycieczek po mieście i za miasto, aby odwdzięczyć się Francji, że nas lubi. Pokażemy im co mamy: Łazienki, Wilanów, następnie.... no, bądź co bądź Łazienki i Wilanów. Opowiemy im o wysoce interesujących planach najpierwszorzędniejszych urządzeń społecznych i pokażemy to i owo w mieście.

Panowie Dupont, Dubois, Durand i Dulac, są

Trzy jego ciotki należą do najstarszej arystokracji kraju, a jedną z nich jest Lady Richmond. (Mitchener wydaje rozdzierający jęk). I wszystkie uwielbiają go. Zaproszenia na sześć zabaw ogrodowych i na czternaście balów, rozesłane do oficerów z regimentu Chubbsa, zostały teraz cofnięte. Czy to być może, że pan nic o tem nie słyszałeś?

Mitchener. Ani jednego słowa.

Balsquith (kiwając głową). Zapewne nikt nie miał odwagi powiedzieć panu o tem. (Siada niedbale po prawej ręce Mitchenera).

Mitchener. Przeklęty osioł, ten Chubbs-Jenkinson! Ażeby do tego stopnia nie mieć pojęcia o stanowisku swych podwładnych. Dlaczego on o tem nie wiedział? Był obowiązany wiedzieć. Zasługuje sam na chłostę.

Balsquith. Otrzyma ją też zapewne od swych kolegów.

Mitchener. Mam nadzieję. W każdym razie musi być usunięty, precz z armji! On albo ja.

Balsquith. Powoli, powoli. Ojciec jego ofiarował miljon na naszą partję. Należy mu się od nas tytuł pair'a.

Mitchener. Wszystko mi jedno.

Balsquith. Ale mnie nie wszystko jedno. Jak się panu wydaje, z czego można utrzymać partję? Przecież nie ze składek oddziałów. Nie wystarczy nawet na opłacenie gazu na zgromadzeniach.

Mitchener. Nie potrafisz-że pan być poważnym? Siedzę tutaj, czując na sobie ciężar niechęci Lady Richmond, a pan opowiadasz mi o gazie i o składkach. Jej siostrzeniec!

Balsquith (posępnie). Niestety. Studjował w Oxfordzie razem z Bobby Bessborough.

Mitchener. Coraz lepiej! Cóż mam teraz robić?

Głos z ulicy. Prawo wyborcze dla kobiet! prawo wyborcze dla kobiet! (Huk silnego wybuchu wstrząsa całym gmachem. Rozmawiający nic nie zauważyli).

Mitchener. Pan nie wiesz, co to dla mnie znaczy. Ja kocham armję. Ja kocham ojczyznę.

Balsquith. To jest bardzo przykre... (Ordynans wchodzi).

Mitchener (z gniewem). Co się stało? Jak możesz ośmielić się przerywać nam!

Ordynans. Pan generał nie słyszał wybuchu?

Mitchener. Wybuchu? Co za wybuch! Nie, nie słyszałem żadnego wybuchu. Mam ważniejsze rzeczy do roboty, niż zajmować się wybuchami. Wielki Boże! Siostrzeniec Lady Richmond został potraktowany jak pierwszy lepszy robotnik, i gdy Anglja drży jesz-

jak wszyscy lubiący nas Francuzi, dość obeznani z naszemi stosunkami. Wiedzą oni dobrze, że *la Pologne est très malheureuse*, że *l'orde règne à Varsovie* i że *on est parfois saôul comme un Polonais*. Zdumieni na widok brukowanych ulic, mężczyzn golonych i tramwajów elektrycznych, konstatują z zachwytem, że poziom kulturalny Polski jest aż tak wysoki. Podobne oświadczenie — już na rogu Marszałkowskiej i Alei Jerozolimskiej — co to będzie dalej?!—dodaje otuchy ciceronom starannie dobranym przez hr. Wałkońskiego, którzy od tej chwili dużo śmielej pokazują wszystkie curiosa miasta.

A więc ogląda się szerokość Krakowskiego-Przedmieścia obok Kurjera Warszawskiego, kilkanaście domów pięciopiętrowych, zupełnie europejską wystawę magazynu gorsetów i Aleję Ujazdowską, odpowiadającą mniej więcej Alei Pól Elizejskich.

— Ci panowie w długich ubraniach — to są żydzi — tłumaczy zawstydzony cicerone, którego rodzice drogą dziwnych krzyżowań rodowych też byli żydami.

— Ten pan, przechodzący na lewą stronę ulicy— to jest literat, podobno bardzo znany w Paryżu. Panowie go nie znają?

— Nie — z żalem odpowiadają delegaci ku wielkiemu zdziwieniu uprzejmego cicerona.

— A ten młody człowiek jest znany w całem mieście, bo w tak młodym wieku jest już kochankiem znakomitej artystki.

— To pewnie hrabia jakiś?

— Nie.

— To ciekawe, bo u nas hrabiowie też tak nie wyglądają.

— Tu oto, objaśniał dalej cicerone, jest kawiarnia, w której zbierają się nasi najcelniejsi artyści.

— Paderewski? zapytał Durand, najlepiej obeznany ze stosunkami polskiemi.

— Nie, Paderewski mieszka w Szwajcarji, ale tu przychodzą inni, podobno wybitniejsi.

— Tiens!

— Ot, widzi pan naprzykład tego blondyna z wąsami—to jest znakomity malarz.

— Ten w brudnym kołnierzu?

— Tak.

— Który? zawołali chórem zakłopotani delegaci. Każdy z nich wziął przynajmniej pięciu z pośród obecnych za znakomitego malarza.

— Gdzie on wystawia swe dzieła? zagadnął Dubois, interesujący się ogromnie malarstwem.

— On obrazów nie wystawia wcale i wogóle nie lubi ich pokazywać nikomu.

— Skąd więc wiadomo, że jest znakomitym malarzem? zakwestjonował sceptyczny Dulac.

— Jakto! Wszyscy to mówią! z wiarą wyjaśnił cicerone i, aby zmienić temat, pokazał inną znakomitość.

— Malarz?

— Nie.

— Poeta?

— Nie.

— Muzyk?

— Nie.

— Cóż więc robi ten artysta?

— Nic, on jest tak wprost znakomity.

Małomówny Dupont, który miał sporządzić referat o stosunkach w Polsce, zanotował skrzętnie cieciekawe szczegóły o artystach warszawskich.

Poszli dalej.

— W tej oto kawiarni, proszę panów, zbierają się najpiękniejsze kokoty. Zupełnie jak w Paryżu.

— A gdzie zbierają się, jak w Paryżu, uczeni? odezwał się z ironją (zupełnie nie na miejscu) pan Dulac z Akademji Francuskiej.

Zakłopotany cicerone nie wiedział, co odpowiedzieć.

— Czyż niema takiego miejsca w Warszawie? nalegał Dulac.

— Miejsca jest dość, tylko niema dość uczonych...

Na szczęście zapomniano o incydencie, bo uprzejmy cicerone skierował uwagę miłych gości z Zachodu na nową i to niepoślednią osobliwość Warszawy.

— Ten pan jest słynnym bojownikiem myśli niepodległej. Nasz polski Renan — dodał z uprzejmym uśmiechem.

— Czy, jak Renan, wydał imponujące wiedzą dzieła, będące podstawą jego światopoglądu?

— On przewyższył Renana, bo wprost powiedział, że jest wolnomyślicielem — i wszyscy uwierzyli.

— Cóż to za siła przekonywająca!—z zachwytem wyszeptał Dulac, którego sceptycyzm rozwiał się odrazu.

— Ależ... ogromna.

Czterej delegaci podziwiali w skupieniu oblicze znakomitego męża, a gdy znikł on—jak pociąg w no-

---

cze pod tym ciosem, staje przedemną prosty żołnierz i pyta, czy słyszałem jakiś wybuch!

Bulsquith. Cóż to był za wybuch!

Ordynans. Tylko coś w rodzaju bomby.

Balsquith. Bomba!

Ordynans. Bomba z tektury, wypełniona kartkami z czerwonym napisem: prawo wyborcze dla kobiet! Rzucono ją z dachu z przeciwka na podwórze.

Mitchener. Pah!.. Odejdź! (Ordynans wychodzi zdumiony).

Balsquith. Mitchener! Możesz pan jeszcze uratować kraj. Włóż pan na siebie paradny uniform, wszystkie medale i ordery! Weź pan z sobą porządną straż honorową — gwardję konną, czy coś w tym rodzaju i złóż pan wizytę tej starej babie...

Mitchener. Starej babie?..

Balsquith. No tak, tej Lady Richmond. Przeproś ją pan i zapytaj, czy pozwala ci objąć stanowisko głównodowodzącego. Powiedz pan jej że, mianowałeś pastora adjutantem sztabu czy też swoim adjutantem, czy jak się to tam nazywa. A właściwie czem mógłbyś go pan mianować?

Mitchener. Mogę zrobić go swoim kapelanem. Nie wiem dlaczego nie miałbym mieć kapelana w sztabie generalnym! On postąpił zupełnie właściwie, dając w łeb temu młodemu durniowi. Jabym to też był zrobił na jego miejscu.

Balsquith. Więc mam pańskie słowo, że obejmujesz pan główne dowództwo, jeżeli Lady Richmond zgodzi się na to?

Mitchener. Pod tym warunkiem, że dajesz mi pan wolną rękę. Nie chcę nic słyszeć o opinji publicznej i o demokracji.

Balsquith. O ile to jest możliwe, mogę powiedzieć: tak.

Mitchener. (Wstaje pełen stanowczości i zbliża się do kominka). To mi nie wystarcza. Pozbądź się pan tej słabości. Wiesz pan o tem bardzo dobrze: istotny rząd w Anglji polega na tem, że pewne klasy rządzą masą. Pan wiesz, że ustrój demokratyczny jest to przeklęte głupstwo i że najszkodliwszy jest on dla klasy robotniczej. Pan wiesz, że radzimy już nad środkami, które będziemy musieli przesięwziąć, gdy zajdzie możliwość większości robotniczej w parlamencie. Pan wiesz, że w tym wypadku pozbawimy lud wszelkich praw i każemy do niego strzelać, jeżeli podniesie krzyk. Pan wiesz, że jeżeli potrzeba nam opinji publicznej jako podpory, możemy ją fabrykować w naszych gazetach przy pomocy biednych dziennikarzy, którzy za pięć szylingów nawet duszę sprzedadzą.

welce — na skręcie, przypomnieli sobie, że zbliża się godzina bankietu.

Co jest najlepszego w sferze handlowo-przemysłowej Warszawy, zebrało się w salonach Resursy dla uczczenia gości z Zachodu. Rozmowa potoczyła się na temat stosunków polsko-francuskich. Mówiono o eksportach, transportach, importach i poprostu portach; zgodzono się, że Niemcy są niezwykle nieprzyjemni w stosunkach handlowych, jak i prywatnych, że o wiele więcej zalet posiadają Anglicy, których flota, szkolnictwo, zmysł praktyczny, literatura dramatyczna i wychowanie fizyczne prawdziwie imponują światu. Wogóle poruszono cały szereg kwestji nowych, zasługujących prawdziwie na roztrząsanie.

Entuzjazm zapanował ogólny, kiedy pan Durand przemawiając w imieniu narodu, zapewnił, że Francja cała od rapin'a z Montmartre'u do rentjera z Passy i od rybaka z Normandji do Mariusa z Marsylji marzą o największym rozwoju stosunków handlowych z Polską i przytem dodał o roku 63-ym słów parę; które wszystkim obecnym łzy z oczu wycisnęły,

— I wy nie wierzycie, że Francja nas kocha! — zawołał ze wzruszeniem jeden ze współbiesiadników.

Przy serze sam przez się nawinął się temat wywozu nabiału do Francji. Wszyscy obecni zgodzili się, że za obowiązek obywatelski uważać należy wysyłanie do Francji mleka białego, jak lilje Burbońskie. To zestawienie wywołało znów entuzjazm niesłychany.

Z żalem skonstatowano, że bezskuteczne były starania czynione niadawno w tym kierunku przez jednego z obecnych na bankiecie kupców. Choć wysiłków i pracy nie szczędził, odpowiedzi nawet nie dostał na list, rozpoczynający się od słów następujących:

„Wielmożna Francja.

„Dowiedziawszy się, że W. Pani przepada za masłem i mlekiem, zapytuję niniejszem i t. d."

Pan Durand zapewnił, że czasy się zmieniły, i bardzo prosił w imieniu Francji o przysłanie jaknajwiększej ilości mleka i masła.

Żałowali nawet niezmiernie czterej delegaci, że brak czasu nie pozwala im zająć się osobiście tą sprawą prawdziwie ich interesującą i tak ważną dla szczęścia dwóch krajów amis et allies. Tu wkradło się nawet małe nieporozumienie, które zresztą dało się usunąć prostą poprawką historyczną, przyjętą najskwapliwiej do wiadomości.

Wniesiono na zakończenie kilka okrzyków na cześć Francji, której uczucia tak bezinteresownie wyrazili czterej goście z Zachodu.

Nazajutrz udali się panowie Dubois, Dupont, Durand i Dulac z Akademji Francuskiej w towarzystwie hr. Wałkońskiego do Rypina i po paru dniach wyruszyli w drogę powrotną do Paryża. Dubois i Dulac zasnęli twardo, ledwie pociąg wyruszył, tak zmęczeni byli wrażeniami i wzruszeniami; a Durand rzekł do Duponta:

— Mince! Ce qu'on rigole a Varsovie!

Marchołt.

KRYTYKA i SPRAWOZDANIA.

„Dom w słońcu" Karola Larssona.

Zdawałoby się, że szwedzi — naród mieszkający w tak odmiennych warunkach klimatycznych, w warunkach posiadających tak niezmiernie wiele cech ciekawych i pociągających dla europejczyka, nie znającego Północy, że naród uposażony w tak bogatą i odrębną przeszłość legendarną — słowem, lud o innej strukturze ducha—inną stworzy sztukę. I błędnem byłoby twierdzenie, że sztuka szwedzka, dzisiaj jeszcze kosmopolityczna, nie zakwitnie śnieżnym kwiatem Północy, że z pośród epigonów malarstwa zachodnio-europejskiego nie wyjdą talenty źródlane, mające w sobie coś z owego ducha szwedzkiego, który budzi w nas zachwyt lub grozę przez swoją tajemniczość fiordową.

W sztuce szwedzkiej zda się stwierdzać, istniejące dopiero w przeczuciu, pewne jakoby prawo powrotu w rozwoju sztuki: pierwotna forma sztuki, przepuszczona przez pryzmat wielowiekowej kultury swojskiej i obcej, zatraca swoje własności, by drogą świadomego dążenia do stanu pierwotnego, odzyskać cechy rdzenne, istotne już jedynie dla danego narodu. Przypuszczenie to nasuwa się samo przez się: pierwotna sztuka ludowa z natury rzeczy była szwedzką; ulegając wpływom malarstwa europejskiego zatraciła swojskość, a najmłodsze pokolenie sięga znowu po motywy o charakterze narodowym (nie w znaczeniu politycznem lecz duchowem).

Balsquith. Hola! hola! Właśnie, że tego nie wiem. To jest różnica między pańskiem położeniem i mojem. Po dwudziestu latach służby w armji myśli się, że się wie wszystko. Po dwudziestu miesiącach służby w ministerjum wie się, że się nic nie wie.

Mitchener. Historja uczy nas...

Balsquith. Historja uczy nas, że ludzie nigdy nie nauczyli się niczego z historji. To nie jest moje zdanie tylko Hegla.

Mitchener. Kto to jest Hegel?

Balsquith. Już nie żyje. Filozof niemiecki. (Podnosi się z krzesła, przypomina sobie coś i siada z powrotem). Przeklęta rzecz! przypominam sobie właśnie, że Niemcy zamówili cztery nowe Dreadnougth'y.

Mitchener. To my musimy zamówić dwanaście.

Balsquith. Łatwo powiedzieć — ale pomyśl pan, co to kosztuje.

Mitchener. Pomyśl pan, coby kosztowało, gdyby Niemcy nas napadli i zmusili do zapłacenia pięciu miljonów kontrybucji.

Balsquith. Mówiłeś pan przecież, że niebezpieczeństwo najazdu niemieckiego ustanie z chwilą wprowadzenia powszechnej powinności wojskowej.

Mitchener. Wprost przeciwnie, mój drogi, to powiększa niebezpieczeństwo o dziesięć razy, ponieważ wzmaga zazdrość Niemców o naszą przewagę wojskową.

Balsquith. Ale właściwie dlaczego Niemcy mieliby na nas napadać.

Mitchener. A dlaczego nie mieliby nas napapaść? Co ma ich arja lepszego do roboty? Zresztą poco buduję flotę?

Balsquith. Ale my nie myślimy wcale o tem, aby napaść na Niemcy.

Mitchener. I owszem, myślimy o tem. Co do mnie, nie myślałem o niczem innem przez dziesięć lat ostatnich. Mów pan,co pan chcesz — niemcy nie mogą pojąć — i nie pojmą nigdy, jeżeli nie damy im porządnej lekcji — tego prostego faktu, że interesy państwa Brytańskiego są nieograniczone i że hegemonja na morzu należy się Anglji z natury rzeczy.

Balsquith. Ale cóż mogę na to poradzić, że Niemcy nie chcą tego pojąć?

Mitchener. Pozabijać ich.

Balsquith. Nie mogę ich pozabijać.

Mitchener. Owszem, możesz pan. Jako cywilista nie potrafisz pan sobie wyobrazić tego; ale ja zapewniam pana jako żołnierz; jeżeli wypalisz pan z kara-

Podobną drogę ewolucji przechodziło niemal każde nowo powstające malarstwo: włoskie czerpało z bizantynizmu, francuskie z holenderskiego, przez które znów przeszły prawie wszystkie dziś istniejące szkoły malarskie; nawet rzeźba grecka przeszła przez formę posągu egipskiego. Takąż drogę przeszło malarstwo polskie wiedzione przez fałszywych proroków monachijskich i przez Paryż. Nic więc dziwnego, że wystawa malarzy szwedzkich sprawiła nie to wrażenie, jakiego mógł oczekiwać ktoś, kto w ich sztuce współczesnej szukał czegoś „szwedzkiego." Już pierwsi wielcy malarze szwedzcy są Francuzami z techniki i upodobań: jak ów twórca malarskiej syntezy z wody, Fritz Thaulow, i potężny akwaforcista i malarz — Anders Zorn. Wśród młodszych — portrecista Oskar Björck — nie posiada żadnych rysów znamiennych, jest o tyle Szwedem o ile John Sargent jest Amerykaninem. Linja, którą przeszedł wytworny portret od Van Dyck'a do portrecistów angielskich XVIII i francuskich XVIII i XIX wieku, nie załamuje się u niego ani nie zmienia.

Książe Eugeniusz w jasnych pejzażach, zresztą dość rzadkich u niego, posługuje się metodą francuskich impresjonistów (przypomina pointillistów), a w przepięknych nocnych krajobrazach morza bogatych w różnobarwne migające światła okrętowe, okazuje się malarzem głęboko odczuwającym nocny nastrój morza i doskonale umiejącym malować. Nie zmieniają ogólnego wrażenia ani malarz śnieżnych pól i lasów — Fjaestaed, ani, zresztą słabo reprezentowani na wystawie, Liljefors i Hallström. Łączy ich wszystkich jasność obrazów, wspólna zresztą wszystkim współczesnym malarstwom, i wyjątkowa szczerość w twórczości.

Niema w nich jednak tych odrębności, jakie już dzisiaj widzimy naprz. w malarstwie polskiem. Polskie malarstwo dopiero teraz obchodzi swoje święto narodzin. Dzisiaj poczęło wydawać ludzi — twórców nowych dróg, ludzi, dla których nie temat, nie patyna historyczna ani nawet mistrzostwo rysunku i techniki były celem, lecz stworzenie nowych metod patrzenia i malowania, metod, przez które wszelka wizja wyobraźni, wszelki stan uczuciowy zostaną oddane w sposób najistotniejszy. Takim jest Wyspiański, twórca szkoły niezależnej, nowej nie tylko dla polskiego malarstwa, lecz dla sztuki wszechświatowej.

Wśród młodych Szwedów postacią najciekawszą, najodrębniejszą jest Karol Larsson.

* * *

Pogodny jest Larsson. Ma on w sobie tę tak rzadką dziś umiejętność radosnego wartościowania życia. Wśród artystów jeden z niewielu — radosny, szczerze, niemal dziecinnie, choć urodził się na mrocznej Północy, a uczył się żyć i malować w Paryżu.

Mieszkaniec miasta, wesoły i bez troski, w chwili zwątpienia powiedział do siebie: „A jednak musi to być ciekawe żyć dalej, by zobaczyć jak to później będzie!" I dziś już mieszka we własnej maleńkiej posiadłości wiejskiej w Szwecji, gdzie prowadzi życie, o którem mówi z uśmiechem: „jesteśmy szczęśliwi, ja i moja żona Karin."

Jak życie jego poszło od wesołości wielkomiejskich do zacisznego, wiejskiego sentymentu, tak szło malarstwo — od wyrafinowanej kolorystyki do prostoty.

A dążenie do prostoty stanowi poważny przełom w sztuce współczesnej. Architektura od chaosu pomieszanych stylów i pseudostylów (w rodzaju secesji) idzie ku monumentalności, ku linji prostej, pozbawionej zewnętrznej, bardziej malarskiej ornamentyki. Rzeźba po przez różnorodną technikę impresjonistów rzeźbiarskich zbliża się niemal na całej linji do spokojnej harmonji, do tejże monumentalności i bezwględnej prostoty, jako ostatniego wyniku techniki (ostatnie dzieła Rodin'a, Aristide Maillot i inni). W literaturze najdosadniejszym dla nas przykładem dążenia do tak przekulturyzowanej prostoty będzie styl Wyspiańskiego.

Droga, która prowadzi do tak pojętej prostoty, jest znowu jakgdyby wyrazem wspomnianego już rzekomego prawa powrotu. Po przez kulturę wielu wieków, po przez wyrafinowanie sztuki XIX i XX stulecia, artyści współcześni, syci wszelkich umiejętności technicznych, szukają tych wielkich, bezpretensjonalnych form sztuki, jakich wyrazem jest filar grecki, piękny przez swoją harmonję i zwartość — i właśnie prostotę i przystosowanie.

Na tę samą drogę, jeszcze niepewnie, wstępuje i malarstwo.

Jednym z wyrazów dążenia do prostoty, a być może, wyrazem zasadniczym — jest linja t. zw. styli-

---

bina do Niemca, padnie on trupem zupełnie tak samo jak królik.

Balsquith. Do kata, człowieku! Królik przecież nia ma karabina, a Niemiec ma go; przypuśćmy, że on pana zastrzeli.

Mitchener. Wybacz pan, panie Balsquith, podobne zapatrywanie nazywamy w armji — tchórzostwem. Żołnierz myśli o tem, że będzie strzelał, ale nie o tem, ze zostanie zastrzelony.

Balsquith (zrywa się z miejsca). No, no! Bawi mnie to, gdy wy wojskowi mówicie o tchórzostwie. I przytem żyjecie ciągle w szalonym strachu przed urojonemi najazdami. Zdaje mi się, że każdy z was, kładąc się do łóżka, zagląda, czy niema pod niem złodzieja.

Mitchener (spokojnie). Bardzo rozsądny środek ostrożności. Stosuję go zawsze, i dlatego nigdy mnie nie okradziono.

Balsquith. Mnie też nie. Zresztą wszystko jedno, ale pan nie masz prawa wyrzucać mi tchórzostwa. (Staje po lewej ręce Mitchenera przy kominku). Nie zaglądam nigdy pod swoje łóżko czy niema tam złodzieja, ale nie zaglądam też pod łóżko narodu z obawy przed najazdem. Jeżeliby jednak przyszło do walki, gotów jestem bić się nawet wtedy, gdyby było nas mniej niż trzech na jednego wroga.

Mitchener. To jest romantyczne ględzenie cywilisty. Ale nie zaprzeczysz pan chyba, że nieograniczona władza na morzu jest podstawowym warunkiem bezpieczeństwa dla naszego narodu.

Balsquith. Nieograniczona władza na morzu jest podstawowym warunkiem bezpieczeństwa dla księstwa Monaco. A Monaco nie osiągnie jej nigdy.

Mitchener. To też Monaco nie ma zapewnionego bezpieczeństwa. Jakież to straszne! Jak mogą mieszkańcy spać spokojnie, mając przed sobą prawdopodobieństwo najazdu, bombardowania? Chciałbyś pan narazić na to nasz spokojny sen angielski? Mamy-ż żyć bez zapewnienia bezpieczeństwa?

Balsquith (stanowczo). Tak. Pewności niema i być nie może, dopóki ludzie są śmiertelni. Anglja będzie miała pewność dopiero wówczas, gdy umrze; zupełnie tak samo jak ulice Londynu będą dopiero wówczas bezpieczne, gdy żaden pojazd nie będzie mógł nikogo przejechać, a żaden człowiek nie będzie mógł być przejechany. Wymagając pewności, jesteście jak ludzie pożądający księżyca.

(d. c. n.)

zacyjna. Nie sprowadza ona malarstwa do rysunku. Bynajmniej. Traktowanie wielkich płaszczyzn pejzażu, pagórków, fal morskich, obrazów, drzew a nawet głębi domu — jako plam barwnych, często grożących zlaniem się w jedną masę, wywołało (np. u Van Gogh'a) konieczność linji stylizacyjnej, to znaczyło jeszcze „demarkacyjnej". Początkowo używana jako środek stała się wkrótce środkiem i celem. Już Puvis de Chavannes posługuje się nią w wielkich ściennych malowidłach, malarze dekoracyjni jak Fritz Erler czy Gustaw Klimmt nadają jej wartość zasadniczą; dalej, linję tę spotykamy coraz częściej u malarzy wszelkich narodowości. Stanowi ona podstawę stylu Wyspiańskiego, podniesiona jest do wysokiego poziomu u Ślewińskiego. Do powstania jej przyczyniły się też nabytki ze wschodu, z Japonji. Największą wartość malarską nadał jej Wyspiański, lecz wyrazem bezwzględnej prostoty staje się dopiero u Larssona.

Ongi kolorysta lubujący się w różnorodności barw, doprowadzonej aż do chaosu, twórca przepysznych symfonji barwnych, hołdujący wszelkim nowym teorjom malarstwa, zawsze doskonały rysownik, przetworzył w sobie Larsson umiejętność malarstwa francuskiego i holenderskiego i rysunku japońskiego na swoją metodę prostoty.

Dziś wszystko co maluje, ujmuje w wyraźnie ostro zaznaczoną linję, która jest podłożem całokształtu, i tak ujęty obraz zabarwia. Tą metodą posługuje się malując i wnętrza i pejzaże i ustępując od zasady tylko wśród wielkich równych płaszczyzn pól, jezior czy śniegów. A dawna umiejętność kolorystyczna, bogactwo obserwacji, znajomość efektów świetlnych i powietrznych pozwalają mu przy niewielkiej stosunkowo ilości kolorów tak rozszerzać ich skalę, że głębia, powietrze i światło są wydobyte z niezrównaną prostotą i prawdą.

Prostolinijna ta technika budzi nieraz obawę, że artysta zejdzie na manowce absolutnej oschłości. I byłoby to możliwe, gdyby wszystkich obrazów Larssona nie przenikała głęboka, jakaś tkliwa miłość do słońca, kwiatów i dzieci.

* * *

Przędzą dalekich wspomnień płynie do nas nieraz powiew lat dziecięcych. Stroskane serce szuka tych jasnych promiennych uśmiechów przeszłości, gdy słońce wiecznie się śmiało, gdy dziecięca nasza fantazja umiała z deszczowej kropli jesiennej dobyć uśmiech szczęścia.

Przedziwne to były dnie — ciche a wesołe, nasze dnie dziecięce — te jedyne chwile, gdy życie już samo w sobie było jasnym okresem białych uśmiechów, liljowych zachwytów.

Poezję dni tych ująć i odtworzyć w pełnym rozkwicie ich kwietnych woni — chciało już wielu artystów. Ciszę tych wspomnień dał Bang w „Białym dworze", ich słoneczność—malarz Larsson.

Jakgdyby dusza tego człowieka napełniła się nagle radością pyłków słonecznych, odrzucił dawny trud poszukującego, stworzył własny styl i zagłębił się w uśmiech dziecka i matki—zamarzył, że ludziom pokaże, jak szare życie codzienne trzeba słońcem napoić, by biło jasnością radosną. I dał nam wraz z obrazami swą książkę „Dom w słońcu". Ta książka — to pieśń weselna o życiu, pieśń w słowach i barwach śpiewana.

Jak istotny poeta, każdemu przejawowi życia nadaje on cechy wzniosłości i poezji, a życie dzieci, swawolne i uśmiechnięte, dało poecie—malarzowi wiele chwil pięknych. O nich nam opowiada. Chwyta najdrobniejszy szczegół tego życia i czyni zeń jasną bajkę o kwiatach—dzieciach.

Obrazy tej książki — to słoneczne wnętrza, pełne barwności, harmonji, idących coraz inną drogą jakgdyby od barwy kwiatu, tego ducha ożywiciela obrazów Larssona. Te wszystkie jasne i wesołe pokoje, o meblach prostych jasno-barwnych, to prototyp mieszkania ludzi szczęśliwych — to niby obraz zewnętrznych warunków ich życia słonecznego. A przytem kwiaty, wszędzie kwiaty wplecione a z niemi cichy sentyment. Lecz „bądź mi przyjacielem, czytelniku!—prosi Larsson—„a wówczas przyznasz, żem mniej sentymentalny".

I zgadzamy się na jego radosny światopogląd i już bez uprzedzeń, lecz pełni oczekiwań chwytamy drugą książkę „U nas na wsi"

Jak Segantini dobył słońce z pośród śnieżnych wirchów alpejskich, tak zdobył je Larsson z pośród szwedzkich pól i śniegów.

Słońce bijące od wielkich zaróżowionych pól uprawnych, od śnieżnych wertepów i głębin lasów, od jezior lodem pokrytych, chaty wiejskiej, człowieka wśród natury — to twórczość Larssona w pejzażu, to życie jego poza domowem ogniskiem, to jego świat widziany pod kątem wieczności. Ten fragment jego pracy—to treść książki „U nas na wsi".

Jakaś pełnia życia idzie od tych mistrzowskich pejzażów, bije od nich humor cygana—artysty, kochającego słońce aż do radosnego pijaństwa, beztroskę—do najgłębszej lekkomyślności, a sentyment do szczerych łez serdecznych.

Lubię zato Larssona, że w otoczeniu codziennej nudy nie zatracił w sobie ani artysty ani cygana, że po przez pesymizm epoki, po przez jej neurastenję i sięganie po twórczość aż w obłęd i degenerację, potrafił zanucić tę nieskazitelną, dziecięco-czystą pieśń o dziecku, kwiatach i słońcu.

Mieczysław Sterling.

Z cyklu: Wiersze muzyczne.

KANKAN.

(Bal Mabille).

W szarmanckim, głębokim ukłonie
Wionęły wtył poły fraczka.
— Madame?...
— Monsieur?...
(Ona płonie).
On — fryzjer i
Ona — praczka.

On tonie w głębokim ukłonie,
(W jedwabiu się znaczą łyd ścięgna)
A ona — dłonie na łonie
Jak w Fauście („Aanim piękna.....")

Pod różu uśmiecha się warstwą,
Aż z warg opada pył suchy...
Tu ukłon... (I drugie cesarstwo
Stać też na piękne ruchy).

On się cofa w lekkiem pas...
w lekkiem pas...

Odsadę bierze, jak w lansjerze
(Kapelusz na tył głowy). —
Muzyczka cicho brządka — gra
brzęczy — gra
W takt me... e... e... enuetowy...

I — — —

Jak chwyta wichr za grzywy fal
By wytrząść z nich szał białych pian,
Tak chwycił ich za karki tan —
pijany tan, szalony tan.

Jak wichr,
tak wyją dziko tony —
i smyków świst — i bębnów huk,
i rumor trąb ryczących w szale...
Na salę Malstroem wpadł spieniony
i toczy fale — fale — fale...

i fale nóg, i fale rąk
i fale falban płyną wkrąg —
toczy się spódnic barwny wał...
wkrąg fale rąk, wkrąg fale ciał,
szumiące fale gaz i riusz,
i puder, niczem wodny kurz...
z fal włosów bryzga piana piór...

Na falach on — rozbitek, wiór —

Sili się nie paść w wodną głąb,
A wkoło orkan w ryku trąb...
I szumi wichr — i szumi prąd,
Pijany taniec kół i rond...

Ta burza i w nim burzy krew
(w fryzjerze się obudził lew!)
Kipi w nim patos dawnych słów,
I słyszy znów — ma w uszach znów

Bojowych bębnów wark i gwar —
I marzy... Orły!... la gloire!...
Dzyń — la — la — Huk!...
... i wiry par!.....

W krąg w pudru mgłach i szychu skrach
Dzyń—la—la — — — papa Offenbach!

To tylko zaduch, taniec, wir
I kankan. C'est le second empire...
i szych — i fałsz — i tan — i kłam....

. . . . . . Madame!...

W szarmanckim głębokim ukłonie
Wionęły wtył poły fraczka,
— Monsieur! (Młoty żądz walą w skronie)
Ona płonie....

(Tu uśmiech pod pudru warstwą)
— Merçi... wśród tonów brzmi płuchy...
(Och tak, i drugie cesarstwo
Stać też na piękne ruchy).

I teraz zaduch wkrąg zionie...

Bruno Winawer.

Z Cesarstwa.

W auli Uniwersytetu Petersburskiego odbył się uroczysty akt zamknięcia kursów wakacyjnych dla nauczycieli. Według sprawozdania liczba słuchaczy dosięgła 1002 osób, w tej liczbie 427 nauczycieli i 575 nauczycielek. Nauczycieli i nauczycieli początkowych było 670, domowych 358. Większość nauczycieli (480) otrzymuje 360 rubli pensji rocznej. Najniższa suma pensji Rb. 200 na rok, najwyższa Rb. 2500. Najwyższa pensja nauczycielek Rb. 1200.

W kijowskim wydziale policji śledczej panują w dalszym ciągu stare porządki. Naczelnik wydziału Kelbedin wykreślił z listy szulerów karcianych trzech notorycznych szulerów. Gubernator zwrócił się do niego z zapytaniem w tej kwestji. Charakterystyczne, że Kelbedin wymieniony jest w książce gen. Reinbota, o której donosiliśmy, jako urzędnik wydalony ze służby za nadużycia.

Kurscy czarnosecińcy częściowo usunęli sami personel medyczny Sapogowskiej lecznicy psychjatrycznej, częściowo zmusili za pomocą intryg pozostałych lekarzy do opuszczenia stanowisk. Ponieważ nikt z lekarzy nie chciał zająć opuszczonych placówek, zarząd miejski bez wahania mianował ordynatorem lecznicy p. Mojsiejewa, stenografa zebrania ziemskiego, który niegdyś został wydalony z urzędu zarządzającego instytutem szczepienia ospy.

W gub. niżegorodzkiej, we wsi Czernowo niema sklepu monopolowego. Rozpanoszyła się więc tajna sprzedaż wódki; szynkarze robili najlepsze interesa po żniwach, kiedy młodzież przepijała wszystkie zarobione pieniądze. W związku z pijaństwem rozwinęła się gra w karty. Na zebraniu gminnem, chcąc zaradzić złemu, postanowiono zabronić handel potajemny wódką i wyznaczono na korzyść gminy kary za przekroczenie zakazu po raz 1-szy Rb. 5.—po raz 2-gi Rb. 10 i po raz 3-ci Rb. 25. To postanowienie, opatrzone podpisami przez „starszynę wołosti" i pisarza, skierowano do naczelnika ziemskiego. Naczelnik postanowienia nie zatwierdził, a ziemstwo powiatowe przychyliło się do wniosku p. naczelnika. Gmina jednak nie dała za wygrane i wytoczyła szynkarzom sprawę o potajemny handel wódką, ale już dwa lata upłynęło, a szynkarze prowadzą swój proceder i nikt z nich nie został pociągnięty do odpowiedzialności sądowej. Teraz gmina kapitulowała i nałożyła haracz na szynkarzy w formie $1/4$ wiadra wódki na korzyść gminy, która się też suto uraczyła na ostatniem zebraniu gminnem.

Ministerjum oświaty ogłosiło „Tablicę oddziałów szkół istniejących i projektowanych w powiatach gubernji ziemskich do d. 1 Czerwca 1909 roku". Celem tablic jest graficzne ustalenie 1) podziału kredytu na nauczanie powszechne 2) powiększenia się liczby szkół w związku z udzieleniem subsydjum i 3) stosunku między ilością szkół subsydjowanych i niesubsydjowanych. Prócz tego „Tablice" przytaczają dane o ilości szkół potrzebnych w oddzielnych powiatach dla wprowadzenia nauczania powszechnego. Dowiadujemy się zatem że w okresie od r. 1907 do 1909 wpłynęło do ministerjum 225

podań od 160 powiatów, domagających się zaprowadzenia nauczania powszechnego. Subsydja otrzymywały 124 powiaty. Odmówiono subsydjum 131 powiatom. W 124 subsydjowanych powiatach istnieje 25,149 oddziałów szkolnych. Ażeby urzeczywistnić nauczanie powszechne w tych powiatach należy otworzyć, jeszcze 21,609. W 131 powiatach niesubbsydjowanych istnieje tylko 14,281 oddziałów szkolnych Co do pozostałych 105 powiatów ministerjum nie podaje bliższych danych.

Sędzia delegowany do spraw przeciwko małoletnim w Petersburgu ogłasza sprawozdanie ze swej działalności w 1-szem półroczu 1910 r.

Ogólna ilość spraw dosięgła liczby 3178. Najwięcej było kradzieży—1017, dalej żebractwo—258, roztrwonienie i przywłaszczenie—48, oszustwo 41 i t. d. Sprawy w których groziło więzienie, miało 1104 chłopców i 105 dziewcząt. Recydywa była zauważona u 14% chłopców i u 11,4% dziewcząt. U chłopców i u dziewcząt największej przekroczeń przypada na wiek lat 16, najmniej na wiek lat 10.

Z ogólnej ilości 1104 chłopców, było oddanych pod dozór kuratorów—667. Ze znajdujących się pod dozorem ponownie popełniło przestępstwa 54-ch chłopców zginęło bez wieści 77 i ujawniło złe sprawowanie 46.

„Rus. Znamia" ogłosiło, że p. Gornostajew jest prowokatorem. Gornostajew był prawą ręką p. A J. Dubrowina i w swoim czasie był zarządzającym „pensjonatem", dla prawicowych posłów do I Dumy Państwowej. Zarzuty prowokacji ściągnął on na siebie za to, iż zażądał sprawozdania z ruchu kasowego za cały okres, kiedy p. Dubrowin był prezesem Rady głównej Związku Narodu Rosyjskiego.

O działalności komitetu sanitarnego dla dozoru nad prostytucją w Mińsku donoszą, że komitet ten zatrzymywał kobiety nie podejrzewane nawet o prostytucję w celu wymuszania datków. Działalność komitetu zawieszono.

Kilku włościan w gub. Tambowskiej kupiło ziemię za pośrednictwem banku. Wszyscy ci włościanie otrzymali listy od podpisanego pełnym nazwiskiem urzędnika banku, który oświadcza, że za 300 rb. sprawa ich będzie szybko załatwioną, gdyż jest ona obecnie u niego. Włościanie przedstawili listy zarządzającemu banku. Urzędnik nie zaprzeczał i przedstawił buchalterję łapówek, przez niego pobieranych. Prowadził on całą kancelarję łapowniczą z sekretarzem osobistym. Urzędnika, wydalono.

Rewizja administracji kijowskiej dokonana przez członka rady ministra spraw wewnętrznych Kondoidi doprowadziła do tego, że gubernator otrzymał dymisję, wice-gubernator wniósł podanie o dymisję, zarządzającemu posadami radcy Turczaninowowi zaproponowano wniesienie podania o dymisję w przeciągu dni siedmiu, przeciwko kilku urzędnikom, prowadzi się dochodzenie karne. Zarządzający kancelarją gubernatora, Daszkiewicz, również ma podać podanie o dymisję. Ma być wydalonych sześciu sprawników.

Senatorowie rewidenci zajęci są umotywowaniem akcji cywilnych, które mają być wytoczone oddanym pod sąd intendentom. Jest to robota niezmiernie trudna Ogólna suma tych akcji wyniesie wiele miljonów, przyczem poważna część tych sum jest zabezpieczona na gotowiźnie i nieruchomościach intendentów i ich dostawców. Liczne areszty wśród intendentów tłumaczą się tem, że panowie ci zaczęli zabezpieczać swoje majątki od ewentualnej egzekucji za pomocą fikcyjnych machinacji

Joten.

KRONIKA.

— Z prasy. Wyszedł № 1 tygodnika „Młot".

— Redaktor zamkniętego dziennika rosyjskiego w Warszawie „Swobodnoje Słowo", skazany na grzywnę, w drodze administracyjnej, z zamianą na areszt, po odsiedzeniu kary przez dwa miesiące na odwachu, został uwolniony.

— Kara prasowa. Redaktor gazety „Dzień" skazany został w drodze administracyjnej na zapłacenie 50 rb. kary lub na dwa tygodnie aresztu za wydrukowanie artykułu p. n. „Dwie granice".

— Kurjer Poranny otrzymał list od zesłańców, w którym piszą: „Zesłańcy w strasznej nędzy, brak nam wszystkiego na osiedleniu, wielu jest bez pracy, nie mamy obuwia i odzieży dla mnóstwa potrzebujących tego współtowarzyszy zesłania, również nie mamy podręczników szkolnych i książek w języku polskim". List ten podpisany został przez p. p. Brunona Łosickiego, Bartłomieja Kozickiego, K. Stodolskiego i Edmunda Szydłowskiego. Stacja pocztowa Kem, gub. archangielska, kolonja zesłańców polskich.

— Według sprawozdania głównego zarządu więziennego ze rok 1908 — w 714 więzieniach cywilnych w Rosji było więźniów wszystkich kategorji 180,206 na ogólną liczbę miejsc 116,888, czyli że przepełnienie ponad normę wynosi 63,318. Liczby te nie obejmują więźniów, osadzonych w aresztach policyjnych, cyrkułach, na odwachach i w więzieniach wojskowych. Liczba więźniów wzrasta stale z roku na rok: 14 stycznia 1905 r. w więzieniach było 80,855 osób; w 1906 r.—95,452; w 1907—125,798; w 1908 — 160,025; w 1909 r. 180,206. Z liczby 180,206 więźniów zostało zesłanych do robót ciężkich 20,937. Liczba więźniów tej kategorji również wzrasta bez przerwy: w 1906 roku było 5.748, zaś w roku 1909—20,936 osób. W roku 1908 pomocy lekarskiej potrzebowało 172,798 więźniów, zmarło 5145.

— Oberpolicmajster m. Warszawy przedstawił magistratowi budżet utrzymania policji w r. 1911 w sumie ogólnej 720,000 rb.

— O bombardowaniu letnisk donoszą pisma rewelskie. Otóż baltycki oddział artyleryjsko-szkolny, ćwicząc się rankiem w dn. 21 lipca, wziął wille Koppel za cel i zaczął je regularnie ostrzeliwać. Dwa pociski armatnie padły na ogród przy willi Wigandla; trzecia kula przebiła na pierwszem piętrze w willi Bergera ścianę nad łóżkiem z którego Berger wstał na 5 minut przedtem, dzięki czemu tylko nie został zabity; czwarta kula padła na cmentarzu i rozbiła ogrodzenie grobu rodziny Kaal; piąta wreszcie upadła w alei, prowadzącej z letniska do miasta. Według gaz. „Riecz" do letnisk podrewelskich podczas tych osobliwych *ćwiczeń morskich* dano z torpedowców 8 strzałów z dział 3 calowych. Wśród mieszkańców zapanowała panika.

— Sprawa Świrskiego. Czesław Świrski, oskarżony w swoim czasie o udział w zamachu pod Bezdanami, został skazany przez sąd wojenny na śmierć przez powieszenie. Wyrok ten nie został wykonany wskutek podania skargi kasacyjnej do głównego sądu wojennego. Przed ostatecznym wyrokiem tego sądu, na wokandzie znalazła się druga sprawa Świrskiego z oskarżenia o należenie do P. P. S. Tutaj poruszono już kwestję poczytalności umysłowej oskarżonego i w myśl orzeczenia sądu,—Świrski przesłany został na obserwację psychjatrów do Moskwy. W tych dniach sąd okręgowy, wszczynając sprawę ponownie, orzekł, że Świrski nie jest chory umysłowo i czyn wykonał w stanie poczytalności. Opinję tę obrońca Świrskiego zaskarżył do Izby sądowej.

Od Administracji.

Ogłoszenia do

SPOŁECZEŃSTWA

przyjmuje się

w administracji ul. Wielka № 1-a telef. 97-83.
ul. Krucza „ 12 m. 15 „ 66-01.
ul. Długa „ 9 m. 18 „ 94-01.

Redaktor i wydawca **Dr. J. M. Muszkowski.** Drukarnia Artystyczna K. Kopytowski i S-ka Nowy-Świat 47.